ZIEMOMYSŁ

PISMO CZASOWE DLA DZIECI.

N^RO. 10.

DNIA 31 MAJA 1830 ROKU.

WSPOMNIENIA NARODOWE.

SZYMON SZYMONOWICZ.

Szymonowicz dawny nasz Polski poeta, urodził się we Lwowie r. 1557, był synem Szymona Brezińczyka, radzcy miasta Lwowa, męża w różnych naukach i językach biegłego. Nie posiadał żadnego majątku Szymonowicz, lecz piękne jego talenta, otworzyły

mu przystęp do najpiérwszych panów, i powszechny szacunek zjednały. Będąc w akademii Krakowskiéj na naukach, poznał się z owym sławnym Stanisławem Sokołowskim, którego nauki i obcych i swoich zdumiéwały. Ten przyjął go za swego domownika, a wkrótce polecił go Janowi Zamojskiemu na urząd sekretarza. Dwór tego pana, w którego ręku były nagrody zasług, i losy wielu Polaków, był prawdziwém towarzystwem uczonych; na nim przeto cnoty i talenta Szymonowicza, musiały znaleść należytą cenę, i zajaśniały w całém swojém świetle. Onto był nauczycielem i przewodnikiem Tomasza Zamojskiego, syna wielkiego Jana Zamojskiego, który umiérając w roku 1605, oddał Szymonowiczowi swego

dziesięcioletniego jedynaka i polecił jako nauczycielowi i drugiemu ojcu. Nie zawiódł nadziei ojca zacny Szymonowicz, i uczynił wychowańca swego, prawdziwym dziedzicem wielkości ojcowskiéj. Sam zaś, pomimo nabytéj sławy, wziętości, i zasług w domu Zamojskich, unikał wszelkich dostojeństw, i zawsze w miernym zostawał stanie. Udarowany od Zamojskiego wioską w okolicach Zamościa, największą część życia w tém ustroniu spokojném naukom i samotności poświęcał. Utrzymują niektórzy autorowie iż Klemens VIII. papież, uwieńczył Szymonowicza jako poetę. Inni wnoszą, iż to nastąpiło za innégo papieża, a niektórzy mniemają, iż to w końcu życia Stefana lub też w początku panowania

Zygmunta III. nastąpić musiało, i że go jeden z tych królów Polskich uwieńczył.

Szymonowicz umarł r. 1629. w 71. roku życia swego. Zostało po nim 20. sielanek które za wzorowe w tym rodzaju uważać można. Styl ich jest nader słodki, naturalny, i prawdziwie sielski. Pisał także różne inne poezje w polskim i łacińskim języku. Przytaczamy niektóre wyjątki.

WYJĄTEK Z SIELANKI DZIESIĄTÉJ.

N a i s.

Stojąc nad cichym Purem Nais żałościwa,
Jako (prawi) ta woda za wodą upływa:
Tak lata nasze bieżą, nazad niewrócone;
Lecz wody za wodami idą nieskończone:
Ale życia mojego skoro czas przeminie,
Inszy nie przyjdzie, ani wiek nowy nadpłynie,
Czyli trudno przeskoczyć kresy zamierzone?
Albo prawa naganiać wiecznie położone?
Raczéj to, co nam wieku pozwolono trochę,
Niechaj troski nie gryzą, i frasunki płoche.
Samo nadbieży, co jest naznaczono komu,
A zła chwila namaca i w zawartym domu.
Ja tym czasem ten warkocz będę rozplatała,
Będę się w tobie Purze piękny przeglądała.
Owa mię téż tu podka, co i siostry moje.
A jako teraz żywa nad twym brzegiem stoję;

Będzie pamiątka moja na wieczny czas stała:
Bo nie żył, po kim piękna pamięć nie została.
Jeźli mię nigdy taniec długi nie zabawił,
Jeźli na krotofilach wiek się mój nie trawił;
Jeźlim na łąkach kwiatków tylko nie zbierała,
Anim się na wesołe Fauny zapatrzała;
Ale uczone pieśni w uściech moich brzmiały,
Te, proszę, aby po mnie na świecie zostały.



WYJĄTEK Z SIELANKI CZTERNASTÉJ.

Co od Boga, potrzeba za wdzięczne przyjmować,
Lub on daje, lub bierze, za wszystko dziękować.
Tym prawem świat ten stanął: szkody z korzyściami
Mięszają się; dziś słońce, jutro się chmurami
Niebo czerni, godzina jedna, nie jednaka.
Może bydź z pana żebrak, może pan z żebraka.
A kiedy kto upadnie, więc się już nie dźwigać?
I opuściwszy ręce, nieszczęściu podlegać?
Pobiją zboża grady, przecię oracz w pole
Z pługiem idzie, nie pomniąc o próżnéj stodole.
A pan Bóg zaś tak hojnie, jako pan, zaradza,
Że się i grad, i wszystek głodny rok nagradza.
Pomnisz? kiedy nam sady zima posuszyła?
One sady rozkoszne, niecierpliwa była
Moia Olenka, swoje wyrąbać kazała,
Jakoby do palenia inszych drzew nie miała.

Kędy nie wyrąbano, znowu się z korzenia
Puszczały; jam się musiał udać do szczepienia.
I teraz z łaski bożéj, mam tak piękne sady,
Ze mię niemi nie przejdzie nikt między sąsiady.
Widziałem, kędy domy drewniane zgorzały,
Tam potém kamienice murowane stały.
Czasem pan Bóg nawiedzi, albo za karanie,
Albo chcąc wzbudzić większe do czego staranie.
Kiedy człowiek zdrów, insze znośniejsze są szkody,
Gdy drzewo całe, będą na nim i jagody.
I ty się nie opuszczaj; Bóg bierze, Bóg daje.
Trzeba się starać o się, póki człeka staje.

WYJĄTEK Z SIELANKI SIEDMNASTEJ.

Skowroneczku, już śniegi na polach nie leżą,
Już do morza rzekami pienistemi bieżą.
A tyś rad, i ku niebu w górę polatujesz. (rujesz.
I garłeczkiem krzykliwym wdzięcznie przepie-
Bo skoro wiosna role rozległe ogrzeje,
Skoro łąki kwiatkami pięknemi odzieje,
Wynikną i robaczki z ziemie rozmaite:
A ty potrawki będziesz miał z nich znamienite.

Jaskółeczko, jużeś się na świat ukazała?
Jużeś ożyła? jużeś z wody wyleciała?
Za tobą dni wesołe, i wietrzyk powiewa,
Za tobą i słoneczko cieplejsze dogrzewa.
Narodzi ono tobie muszek niezliczonych,
Ty ich będziesz łapała, po polach przestronych,
Będziesz łapała, i do gniazdeczka nosiła:
Boś je sobie pod naszą strzechą ulepiła.

Słowiku, mój słowiku, co w tym krzu rożanym,
Od północy mię budzisz swoim głosem ranym,
I ty nie z serca śpiewasz, i ciebie coś boli:
I ja śpiewam, a rym mój idzie po niewoli.



NIEKTORE NAGROBKI.

Wołu robotnego.

Robiłem w ciężkim pługu, nigdy nie zchodziło
Jarzmo zemnie, mną zasiać, mną i zwozić było;
Zdechłem od pracy: dziś mię gospodarz żałuje.
Prętko postrada, gdy kto czemu nie folguje.

Perlusi.

Perlusia suczka małą, zawsze się pieściły
Panny ze mną, aż mię w swych rękach udusiły.
Drudzy giną od nędzy, a ja od pieszczoty.
W najlepszym bycie, są téż i swoje kłopoty.

Szpaka.

Ja krzykliwy śpiewaczek, ja szpaczek ubogi,
Żyłem z ludźmi, nigdy mi głod nie bywał srogi,
Przestawałem na male, umarłem w cichości.
Że nie umrze, kto żyje w spokojnéj skromności.

Słowika.

Kiedym konał w paznokciach jastrzębia srogie-
go,
Mówiłem żałośliwe te słowa do niego,
Niewinnym ja śpiewaczek, mało na mnie mięsa;
A on, idź przecie w gardło: dobry kęs do kęsa.

WYSPA DWOCH BRACI.

POWIEŚĆ.

(*Ciąg dalszy.*)

Pewnego dnia gdy Gustaw podług zwyczaju przybył na łąkę dla połączenia się z swoim młodym przyjacielem, został w miejscu jego innego wieśniaka strzegącego wołów; Stefan zachorował na ospę. Gustaw nie namyślając się długo, pośpieszył do wsi gdzie mieszkał stryj Stefana, i udał się do domu jego: spostrzegł dom piękny i obszerny, w którym wszystko oznaczało obfitość: wszystkie w nim sprzęty były czyste i pięknie usta-

wione, a naczynia cynowe i miedziane równie czyste i połyskujące się, jak gdyby były ze złota i srebra. Jedna tylko młoda służąca znajdowała się w domu natenczas.

— Przyszedłem widzieć się z chorym Stefanem, rzekł Gustaw zdejmując kapelusz, czy mnie nie zechcesz do niego zaprowadzić?

— Joanna powstała z miejsca w którém przy pracy siedziała, spojrzała na niego z zadziwieniem, i zaprowadziła go do stajni, gdzię stało łóżko Stefana.

— Jakto, zawołał Gustaw, czy on tu leży? mój biédny bracie! przyszedłem cię odwiedzić, i czuwać nad tobą; Bóg reszty dokona.

— Czy ty jesteś Gustawem? zapytała go młoda służąca. Stefan często mi o tobie wspominał; ja byłam jego po-

wierniczką. Ach! mój kochany panie! jakże on jest nieszczęśliwy! ileż on całą noc ucierpiał, a dziś rano zaledwo mogłam wyjednać dla niego szklankę jabłeczniku, aby uspokoił swe pragnienie.

— Łzy stanęły w oczach Gustawowi.

— Czy mi tylko pozwoli stryj Stefana, zapytał Joanny, przebywać tu przy nim codziennie?

— On nawet wiedzieć nie będzie, że ty znajdujesz się w tém miejscu, odpowiedziała wieśniaczka; on nigdy nie odwiedza swojego synowca.

Gustaw przeto zasiadł obok swego chorego na drewnianym stołku który mu Joanna przyniosła. Wieczorem zaś polecił go staraniom dobréj Joanny i wrócił do swego domu. Je-

szcze połowę drogi nie uszedł, gdy go noc zaskoczyła. Gustaw bawiąc się zbieraniem robaczków świécących, nagle usłyszał jakiś jęk obok krzyża wśród zboża postawionego. Wieści miejscowe utrzymywały, że codziennie wieczór, o godzinie dziesiątéj, widywano kobietę bez głowy przechodzącą się w téj okolicy, która męczyła bez miłosierdzia każdego, kto tylko zbliżył się do niéj przez nieszczęśliwy przypadek. Gustaw miał tyle rozsądku iż nie wierzył takim baśniom; nie miał jednak tyle mocy nad sobą aby nie doznał przestrachu; lecz przezwyciężywszy go wkrótce, zbliżył się do narzekającéj osoby, i spostrzegł niskiego człowieka do krzyża przywiązanego, i mającego chustkę w usta włożoną.

Nieszczęśliwy błagał pomocy głosem przytłumionym: Gustaw, ujęty litością, dobył swego nożyka, przeciął sznur którym ten człowiek był powiązany, i wyjął mu z ust chustkę.

— Mój Boże, rzekł do niego, któż ci mógł taką przykrość wyrządzić?

— Niestety! odpowiedział głosem żałosnym nieznajomy, jeszcze mi więcéj złego uczyniono: ukradziono mi mojego konia. Gdybyś wiedział jaką mi przez to krzywdę uczynili! Jestem lekarzem z pobliskiego miasta: jechałem o parę mil do chorego. Nieszczęściem, zatrzymałem się w pewnéj karczmie, chcąc się wypytać o drogę. Zastałem tam dwóch łotrów pijących, mój koń bardzo im się podobał: udali się za mną, przywiązali mnie do

tego krzyża który widzisz, i uciekli natychmiast z moim koniem. Gdybyś mnie chciał zaprowadzić do Pana B..., byłbym ci nader wdzięcznym.

— Gustaw z największą ochotą stał się jego przewodnikiem. W czasie drogi powiedział Gustawowi, iż z zadziwieniem uważał, że dwaj młodzi pasterze przechodząc w tym czasie około krzyża kiedy on był przywiązany, nietylko nie przynieśli mu pomocy o którą ich błagał, lecz natychmiast z przestrachem uciekli. Gustaw łatwo się domyślił powodu ich bojaźni, i opowiedział lekarzowi powieść o kobiecie bez głowy. Ten lekarz będąc człowiekiem roztropnym, korzystał z téj sposobności, i przekonywał Gustawa jak jest nierozsądną

a nawet niebezpieczną rzeczą, wierzyć w podobne gminne rozgłosy.

— Gdybyś i ty podobnie jak ci pasterze, dodał lekarz, nie był pogardził takiemi wieściami, nie byłbyś mi uczynił tak wielkiéj przysługi, a pomnij na to, moję dziécię kochane, że to jest prawdziwém naszém nieszczęściem, kiedy utracimy sposobność w któréj mogliśmy stać się użytecznymi.

— Przybyli do pana B.... o godzinie dziesiątéj. Pani B.... znając panią Valence, nie chciała na to pozwolić aby Gustaw sam jeden miał powracać; kazała go odprowadzić jednemu swemu służącemu, poleciwszy mu aby wytłomaczył Gustawa przed macochą z jego późnego powrotu. Lekarz rozstając się z Gustawem ponowił

oświadczenia swojéj wdzięczności, i chciał go udarować pięknym pugilaresikiem który miał przy sobie. Gustaw nie chciał go przyjąć, lecz prosił usilnie lekarza aby odwiedził jego chorego przyjaciela, i aby miał o nim staranie, dopóki będzie przebywał w tych stronach. Lekarz przyrzekł zadość jego prośbie uczynić, a Gustaw oddalił się uradowany.

Pani Valence, będąc już dawno po wieczerzy, kazała mu tylko dać kawałek chleba suchego, pomimo wszelkich przełożeń jakie czynił służący pani B..... z polecenia swéj pani. Gustaw, nie czując się bydź winnym, zjadł ten chleb bez wstydu i przykrości. Nazajutrz z rana udał się natychmiast do swojego kochanego Stefana. Lekarz dotrzymał słowa; wychodził wła-

śnie z tego domu gdzie leżał Stefan, gdy Gustaw do niego przybył. Joanna głośno narzekała, gdyż lekarz zakazał dawać jeść choremu; Gustaw, którego dziadek był także lekarzem, i który z tego powodu wysoko cenił sztukę leczenia, przybrał postawę poważną, i mocno polecił służącéj aby nie lekceważyła przepisów lekarza. Stefan wkrótce przyszedł do zdrowia; powierzono mu na nowo straż bydła, a ci dwaj młodzi chłopcy powrócili znowu do swoich zwyczajnych zabaw.

Między bydłem które pasał Gustaw, znajdowało się kilka kóz bardzo pięknych. Pewnego wieczora gdy obadwa przyjaciele zajęci byli czytaniem podróży kapitana Kooka, jedna koza

oddaliła się i przeszła na pastwisko po drugiéj stronie wielkiéj drogi będące. Przechodził właśnie natenczas jakiś człowiek prowadzący kozy do pobliskiego miasteczka, zabrał więc tę odosobnioną, i pomięszał ją ze swojemi. Stefan za powrotem do domu spostrzegł dopiéro stratę swoję. Biédny chłopiec nie wiedział sam co ma czynić.

Słuchaj, rzekł do niego Gustaw, nie trzeba o tém wcale dziś powiadać twemu stryjowi: jutro rano pójdę do pana B....; będę go błagał aby miał litość nad tobą, i wstawił się do twego stryja aby ci to przebaczył.

Stefan nieco się uspokoił, lecz wracając do domu spotkał swego stryja ze wsi wychodzącego. Przenikające

oko starca wkrótce spostrzegło że jednéj kozy nie było, a najostrzejsze pogróżki nastąpiły po tém odkryciu. Biédny Stefan osłupiał ze strachu; za przybyciem do domu otrzymał bolesną karę, poczém zamknięto go do spichrza, jego stryj zapowiedział mu iż przez ośm dni pościć musi, i codziennie podobną karę odbierze.

Nazajutrz zaledwo słońce piérwsze swoje promienie rzuciło, Gustaw udał się do Pana B...., spotkał Joannę idącą do miasta z mlekiem na sprzedaż, i dowiedział się od niéj o nieszczęściu które spotkało jego przyjaciela. Ona nie radziła mu, aby szukał czyjego wstawienia się za Stefanem, zapewniając go, że to nie pomogłoby mu wcale.

Dobrze więc! rzekł Gustaw z żywością, musisz mi dopomódz i wyprowadzić go z jego nieszczęścia, nie zniosłbym tego aby mój brat przez ośm dni chłosty odbiérał.

Ja równie tegobym nie chciała, odpowiedziała młoda dziewczyna; lecz gdzież się obróci, choć wyjdzie z domu swego?

Do mnie to należéć będzie, odpowiedział Gustaw: już nic gorszego stać się nie może.

Joanna kazała mu przyjść do ich domu o trzeciéj godzinie, oświadczając, iż o téj godzinie stryj Stefana miał się udać do miasta, a ona tylko sama w domu zostanie. Gustaw przybył o tym czasie. Przy pomocy służącéj, przystawił drabinę do okna w

spichrzu, gdyż drzwi były na klucz zamknięte, i zaczął wołać na Stefana. Lecz ten biédny chłopiec zamiast mu odpowiedziéć, ukrył się w głębi spichrza, będąc pewnym że go już po karę wzywają. Zaledwo po niejakim czasie poznał głos Gustawa, który wszedł do spichrza szukając swego przyjaciela, i nareszcie wyszedł z swego ukrycia.

Zdawała mu się, iż widzi bóstwo dobroczynne, i rzucił się w jego objęcia.

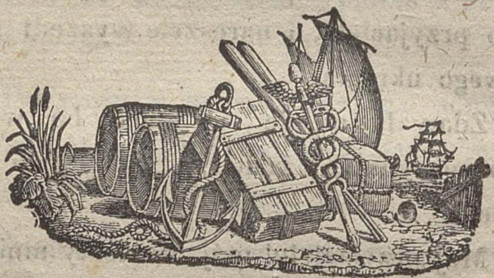
Mój przyjacielu! mój bracie! ty mnie więc nie opuszczasz?

Nigdy! nigdy! odpowiedział Gustaw ściskając Stefana. Chodź za mną, kochany Stefanie; nie ma tu nikogo oprócz dobréj Joanny.

Dwaj młodzi przyjaciele zeszli po

drabinie, przebyli ogród, przeszli przez parkan, i udali się do pobliskiego lasku gdzie oczekiwali nocy.

(*Dokończenie w następującym numerze*).



ROZMAITOSCI.

Kazimierz III. Władysławowi, potém królowi Czeskiemu, z natury marnotrawnemu, przy Długoszu jego nauczycielu, ucząc go umiarkowania w szczęściu, pokazał hajduka w kurcie z jednéj strony, a z drugiéj karła w sukni z ogonem, mówiąc: dwie ostateczności zawsze naganne.

Gdy się Jan Zamojski dowiedział, że ów wielki rymotworca J. Kocha-

nowski od dworu Zygmunta Augusta oddalił się, i w dziedzicznéj wiosce Czarnolesiu osiadł; nie mógł znieść aby ten wielki mąż rzadkie swoje przymioty w odległym kątku zakopywał. Dla tego wyrobił mu kasztelanją Połaniecką u króla, i posłał mu na nię przywiléj. Kochanowski podziękował za tę łaskę, krzesła jednak nie przyjął mówiąc: „że na pomiernych »dochodach przestaje, a dumnego ka»sztelana do domu swego wpuścić nie »chce, któryby przez swoje marnotra»stwo wszystko wnet ztrwonił, czego »się Kochanowski dorobił.»

Korzeniowska Łowczyna Wołyńska, mawiała do swych wnuków: »Nie

życzę ja sobie widzieć WCPanów świetnych, ale świętych, to jest cnotliwych, nieodstępnych religii, i ojczyznę kochających.

Taż sama, widząc panienkę chlubną z swéj piękności rzekła jéj: Mościa panno! twarz się w czasie zmieni, a cnota zawsze piękną pozostanie.

Bieganowski Mikołaj, kasztelan Kamieniecki, od Władysława IV. i Jana Kazimierza K. P. w poselstwie do porty dwakroć używany, gdy i trzeci raz téj się od niego domagano posługi, pomimo osłabionego zdrowia, oświad-

czył swoję gotowość mówiąc: Miło mi to będzie, choć tę przysługę Rzeczypospolitéj, życiem mojem zapieczętuję.—On to także mawiał: Ten u mnie dzień szczęśliwy, którego ubogim co dobrego uczynię.

Jeden z celniejszych dawnych Polskich kaznodziejów, w kazaniu na pogrzebie Mik. Gniewosza r. 1650. mianém, sławiąc cnoty wojenne zmarłego rycerza, tak o miękkiém wychowaniu mówi: »Wyprawią rodzice pana młodego do wojska, wybierze się jak na zaloty strojno. W ciągnieniu z animuszem się popisuje, i męztwo swe nad ubogiemi pokazuję chłopkami, do komor ich jak do fortec szturmując: aż kiedy do potrzeby złożywszy sobole, zbroję na się

wdziać przyjdzie, aż ciężka, aż go uciska, aż się kręci. Stanie w szeregu, aż mu się drzewce od strachu chwieje; uderzą w trąby do potrzeby, aż mu kolana jak w domu po muzyce skaczą: a kiedy do nieprzyjaciela poskoczyć każą, aż on mniemając że to w taniec trzeba, zakręciwszy się trochę po polu jak po izbie, odwrot ku domowi czyni. Ani się temu dziwujcie, że w pieszczotach męztwo się urodzić nie może: trudno bowiem męztwa mają młode lata pieszczono wychowane nabyć, gdy przez pieszczoty najmężniejsi nikczemnieją kawalerowie.

ZAGADKA.

(z dawnego rękopisma).

Czołgam się zawsze jak brzydkie gadziny,
Krzyczę choć gęby nie mam i przyczyny,
Matki méj gryzę ciało, włosy, kości,
I bez pamięci rozdzieram wnętrzności.
Uciekam przed tym który za mną chodzi,
Tego zaś gonię który mnie powodzi,
Rząd nam za sobą, a wprzodzie mam siły,
Przez co się wielkie królestwa zgubiły.
Nos wszędzie wetknę, lecz nie lubię góry
Wtenczas gdy skarbów dobywam natury.